

Rajski ogród

Był sobie książę; nikt nie miał tyle dobrych książek co on; mógł w nich przeczytać o wszystkim na świecie, o wszystkich krajach i narodach, a wszystko było przedstawione na cudownych obrazkach. O jednym tylko nie сказано ani słowa: o tym, gdzie znajduje się Rajski Ogród, a właśnie to najbardziej interesowało księcia.

Gdy był jeszcze dzieckiem i dopiero zaczynał naukę alfabetu, babka opowiadała mu, że każdy kwiat w Rajskim Ogrodzie to słodkie ciastko, a pręciki napelnione są najdelikatniejszym winem; w jednych kwiatkach leży historia, w innych – geografia lub tabliczka mnożenia; wystarczyło zjeść taki kwiat-ciastko – a lekcja sama się przyswajała. Im więc ktoś więcej zjadał ciastek, tym więcej dowiadywał się z historii, geografii i arytmetyki!

W owym czasie książę wierzył jeszcze wszystkim takim opowieściom, lecz w miarę jak dorastał, uczył się i stawał mądrzejszy, zaczął rozumieć, że w Rajskim Ogrodzie muszą być zupełnie inne rozkosze.

– Ach, czemuż Ewa posłuchała węża! Czemu Adam skosztował zakazanego owocu! Gdybym to ja był na ich miejscu, nigdy by do tego nie doszło, nigdy grzech nie przedostałby się na świat!

Tak mówił nieraz i powtarzał to samo teraz, gdy miał już siedemnaście lat; Rajski Ogród wypełniał wszystkie jego myśli.

Pewnego razu poszedł sam jeden do lasu – bardzo lubił spacerować samotnie. Było pod wieczór; nadciągnęły chmury i lunął taki deszcz, jakby niebo było jednym wielkim wałem, który nagle pękł i z którego natychmiast wypłynęła cała woda; zapadła taka ciemność, jaka bywa chyba tylko nocą na dnie najgłębszej studni. Książę to ślizgał się po mokrej trawie, to potykał o nagie kamienie wystające ze skalistej gleby; woda lała się z niego strumieniami; nie zostało na nim suchej nitki. Co chwila musiał wspinać się przez ogromne głazy porośnięte mchem, z którego sączyła się woda. Już prawie padał ze zmęczenia, gdy nagle usłyszał jakiś dziwny gwizd i ujrzał przed sobą dużą oświetloną jaskinię. Pośrodku jaskini rozłożono ogień, nad którym można by upiec całego jelenia, i tak właśnie było: na różnie umocowanym między dwoma ściętymi sosnami piekł się ogromny jeleń z wielkimi, rozgałęzionymi rogami. Przy ogniu siedziała starsza kobieta, tak silna i wysoka, jakby była przebrany męczyzną, i wrzucała do ognia jedno polano za drugim.

– Wejdz – powiedziała. – Usiądź przy ogniu i osusz się.

- Tu jest straszny przeciąg – rzekł książę, dosiadając się do ogniska.
- Poczekaj, aż wrócą moi synowie, będzie jeszcze gorzej! – odpowiedziała kobieta. – Jesteś przecież w Jaskini Wiatrów; moi czterej synowie to wiatry. Rozumiesz?
- A gdzie są twoi synowie?
- Na głupie pytania niełatwo odpowiedzieć! – rzekła kobieta. – Moi synowie nie chodzą na smyczy! Pewnie bawią się w palanta chmurami, tam, w wielkiej sali!

I wskazała palcem na niebo.

- Oto jak! – powiedział książę. – Wyrażacie się nieco ostro, nie tak jak kobiety z naszego kręgu, do których przywykłem.
- One pewnie nie mają nic innego do roboty! A ja muszę być ostra i surowa, jeśli chcę utrzymać mych synów w posłuszeństwie! A trzymam ich w garści, mimo że są upartymi głowami! Widzisz te cztery worki wiszące na ścianie? Moi synowie boją się ich tak samo, jak ty kiedyś bałeś się wiozki różg wetkniętej za lustro! Zginam ich w trzy sztuki i wsadzam do worka bez żadnych ceregieli! I siedzą tam, dopóki nie zmiękną! Ale oto jeden już przybył!

To był Północny Wiatr. Wniósł ze sobą do jaskini przenikliwy chłód, zerwała się zamieć, a po ziemi zaczął skakać grad. Ubrany był w niedźwiedzie spodnie i kurtkę; na uszy spuszczała się czapka z foczej skóry; na brodzie wisiały lodowe sople, a z kołnierza kurtki staczały się градзины.

- Nie zbliżajcie się od razu do ognia! – powiedział książę. – Pozamarzacie sobie twarz i ręce!
- Pozamarzam! – rzekł Północny Wiatr i głośno się roześmiał. – Pozamarzam! Lepiej niż mróz, według mnie, nie ma nic na świecie! A ty co za kwaśna mina? Jak trafiłeś do Jaskini Wiatrów?
- On jest moim gościem! – powiedziała starucha. – A jeśli ci to wyjaśnienie nie wystarcza, możesz udać się do worka! Rozumiesz?

Groźba poskutkowała i Północny Wiatr opowiedział, skąd przybył i gdzie spędził prawie cały miesiąc.

- Prosto z Oceanu Lodowatego! – powiedział. – Byłem na Wyspie Niedźwiedziej, polowałem na morsy z rosyjskimi myśliwymi. Siedziałem i spałem przy sterze, gdy odpływali z Nordkapu; budząc się od czasu do czasu, widziałem, jak pod moimi stopami uwijały się burzyki. Przedziwne ptaki! Uderzą raz skrzydłami, a potem rozpostrą je i tak unoszą się w powietrzu długo-długo!...

- Czy nie można krócej! – powiedziała matka. – Byłeś więc na Wyspie Niedźwiedziej, co dalej?

- Tak, byłem. Tam cudownie! Taka podłoga do tańca! Równa, gładka jak talerz! Wszędzie puszysty śnieg wymieszany z mchem, ostre kamienie oraz szkielety morsów i niedźwiedzi polarnych pokryte zieloną pleśnią – no, jakby kości gigantów! Słońce, prawdę mówiąc, nigdy tam chyba nie zaglądało. Lekko dmuchnąłem i rozproszyłem mgłę, żeby obejrzeć jakąś szopę; okazało się, że było to mieszkanie zbudowane z okrętowych szczątków i pokryte odwrotnie wywróconymi skórami morsów; na dachu siedział niedźwiedź polarny i warczał. Potem poszedłem na brzeg, widziałem tam ptasie gniazda, a w nich gołe pisklęta; piszczały i rozwierały dzioby; wziąłem i dmuchnąłem w te niezliczone gardziola – pewno szybko oduczyły się gapić z otwartymi dziobami! Tuż przy morzu bawiły się, niby żywe jelita albo olbrzymie robaki ze świńskimi głowami i łokciowymi kłami, morsy!

- Świetnie opowiadasz, synku! – powiedziała matka. – Aż ślinka cieknie, jak się słucha!

- No, a potem zaczęły się łowy! Jak wbiją harpun morsowi w pierś, krew tryska fontanną na lód? Wtedy i ja postanowiłem się zabawić, uruchomiłem swoją muzykę i kazałem mym statkom – lodowym górcom – zmiażdżyć łodzie myśliwych. U! Jakie poszło świstanie i krzyki, ale mnie nie prześcigniecie! Musieli wyrzucać zabite morsy, skrzynie i sprzęt na kry? A ja wysypałem na nich całą kupę płatów śniegu i popędziłem ich ściśnięte lodami statki na południe – niech się napiją słonej wody! Nie wrócą już na Wyspę Niedźwiedzią!

- Więc narobiłeś sporo szkód! – powiedziała matka.

- O moich dobrych uczynkach niech opowiedzą inni! – rzekł. – A oto mój brat z zachodu! Jego kocham najbardziej: pachnie morzem i wieje zbawiającym chłodem.

- Czyli to mały zefir? – zapytał książę.

- Zefir to zefir, tylko nie z małych! – powiedziała starucha. – Dawniej i on był ładnym chłopcem, no, ale teraz co innego!

Zachodni Wiatr wyglądał jak dzikus; miał na głowie miękką, grubą czapkę chroniącą przed uderzeniami i guzami, a w ręku maczugę z czerwonego drzewa ściętego w amerykańskich lasach; na inną by się nie zgodził.

- Gdzie byłeś? – zapytała go matka.

- W dziewiczych lasach, gdzie między drzewami wiszą całe płoty z kolczastych lian, a w wilgotnej trawie leżą ogromne jadowite węże i gdzie, zdaje się, nie ma żadnej potrzeby człowieka! - odpowiedział.

- Cóż tam robiłeś?

- Patrzyłem, jak ze skały spada duża, głęboka rzeka, jak unosi się z niej ku chmurom wodny pył służący za podporę tęczy. Patrzyłem, jak dziki bizon przepływał rzekę; nurt porywał go ze sobą i płynął w dół rzeki wraz ze stadem dzikich kaczek, ale te poderwały się tuż przed wodospadem, a bizon musiał runąć headfirst; to mi się spodobało i wywołałem taką burzę, że wiekowe drzewa popłynęły po wodzie i zamieniły się w drzazgi.

- I to wszystko? - zapytała starucha.

- Jeszcze turlałem się po sawannach, głaskałem dzikie konie i rwałem orzechy kokosowe! O, mam o czym opowiadać, ale nie wszystko trzeba mówić, co się wie. Tak-to, stara!

I pocałował matkę tak mocno, że mało nie przewróciła się na wznak; taki już był nieokiełznany chłopak.

Następnie pojawił się Południowy Wiatr w turbanie i powiewającym płaszczu Beduinów.

- Ależ u was zimno! - powiedział i dorzucił dREW do ognia. - Widać, że Północny zdążył przybyć pierwszy!

- Tutaj taki upał, że można upiec niedźwiedzia polarnego! - sprzeciwił się tamten.

- Sam jesteś niedźwiedziem polarnym! - rzekł Południowy.

- Co, chcecie do worka? - zapytała starucha. - Siadaj-no tutaj na kamieniu i opowiadaj, skąd przybyłeś.

- Z Afryki, matko, z kraju Kafrów! - odpowiedział Południowy Wiatr. - Polowałem na lwy z Hotentotami! Jaka tam rośnie trawa na równinach! Cudownego oliwkowego koloru!

Ileż tam antylop i strusi! Antylopy tańczyły, a strusie ścigały się ze mną w biegu, lecz ja byłem od nich szybszy o głowę! Dotarłem aż do żółtych piasków pustyni - ona podobna jest do dna morskiego. Tam dogoniłem karawanę. Ludzie zarżnęli swojego ostatniego wielbłąda, aby z jego żołądka wydobyć wodę do picia, lecz niewiele im to dało! Słońce prażyło ich z góry, a piasek smażył od spodu. Nie było końca tej bezgranicznej pustyni! A ja zacząłem tarzać się w drobnym, miękkim

piasku i wznosić go ogromnymi słupami; oto jak rozpoczęła się tańcza! Gdybyś tylko zobaczyła, jak dromadery stłoczyły się w kupę, a kupiec narzucił kaptur na głowę i padł przede mną na twarz, niczym przed swoim Allahem. Teraz wszyscy oni są pogrzebani pod wysoką piramidą z piasku. Jeśli kiedykolwiek przyjdzie mi ochota, by ją zmieść, słońce wybieli ich kości, a inni wędrowcy przynajmniej zobaczą, że byli tu ludzie, bo inaczej trudno w to uwierzyć, patrząc na nagą pustynię!

- Zatem czyniłeś wyłącznie zło! - rzekła matka. - Marsz do worka!

I nim Południowy Wiatr zdążył otrząsnąć się ze zdumienia, matka chwyciła go za pas i schowała do worka; próbował turlać się w worku po podłodze, lecz ona usiadła na nim, więc musiał leżeć spokojnie.

- Żwawi masz synów! - powiedział książę.

- Niczego sobie! - odparła. - Ale umiem sobie z nimi radzić! A oto i czwarty!

Był to Wschodni Wiatr, ubrany jak Chińczyk.

- Ach, ty stamtąd! - rzekła matka. - Myślałam, że byłeś w Ogrodzie Rajskim.

- Jutro tam polecę! - powiedział Wschodni Wiatr. - Jutro minie dokładnie sto lat, odkąd tam nie byłem! Tymczasem wracam prosto z Chin, tańczyłem na porcelanowej wieży, tak że wszystkie dzwonki dzwoniły! Na ulicy Below karano urzędników; bambusowe laski huczały im po plecach, a byli to mandaryni od pierwszego do dziewiątego stopnia! Krzyczeli: „Wielkie dzięki ci, ojciec i dobrodzieju!”, w duchu myśląc jednak coś zupełnie innego. A ja w tym czasie dzwoniłem dzwonkami i nuciłem: „Dzing, dzang, dzu!”

- Psotniku! - rzekła staruszka. - Cieszę się, że jutro wyruszasz do Ogrodu Rajskiego; ta podróż zawsze przynosi ci wielką korzyść. Napij się tam ze Źródła Mądrości i nabierz dla mnie pełną butelkę tej wody!

- Dobrze - rzekł Wschodni Wiatr. - Lecz za co wsadziłaś do worka brata Południowego? Wypuść go! Opowie mi o ptaku Feniksie, o który pyta księżniczka Ogrodu Rajskiego. Rozwiąż worek, miła, droga mamusiu, a podaruję ci dwa całe worki zielonej, świeżej herbaty, prosto z krzewu!

- No cóż, skoro dla herbaty, a ponadto dlatego, że jesteś moim ulubieńcem, niech i tak będzie, rozwiążę go!

I rozwiązała worek; Południowy Wiatr wydostał się stamtąd z miną mokrej kury: coś dziwnego, obcy książę widział, jak go ukarano.

- Oto dla twojej księżniczki liść palmowy! - rzekł do Wschodniego. - Otrzymałem go od starego ptaka Feniksa, jedyne na świecie; dziobem wyryl na nim historię swego stuletniego życia na ziemi. Teraz księżniczka może przeczytać o wszystkim, czego tylko zapragnie się dowiedzieć. Ptak Feniks na moich oczach sam podpalił swoje gniazdo i został ogarnięty płomieniem jak indyjska wdowa! Jak trzeszczały suche gałęzie, jaki unosił się z nich dym i wonność! W końcu płomień pochłonął wszystko, a stary ptak Feniks obrócił się w popiół, lecz jajec przez niego złożone, gorejące w ogniu jak żar, nagle pękło z potężnym trzaskiem i wyleciał z niego młody Feniks. Wydziobał on na tym liściu palmowym dziurkę: to jego ukłon dla księżniczki!

- No, teraz czas nieco się posilić! - rzekła matka wiatrów.

Wszyscy rozsiedli się i zabrali do jelenia. Księżę siedział obok Wschodniego Wiatru i szybko zostali przyjaciółmi.

- Powiedz mi - zapytał księżę sąsiada - kim jest owa księżniczka, o której tyle mówiliście, i gdzie znajduje się Ogród Rajski?

- Oho! - rzekł Wschodni Wiatr. - Jeśli chcesz tam trafić, polećmy jutro razem! Muszę ci jednak powiedzieć, że od czasów Adama i Ewy nie postąpiła tam ani jedna ludzka dusza! A co stało się z nimi, ty zapewne już wiesz?

- Wiem! - rzekł księżę.

- Po tym, jak zostali wygnani - kontynuował Wschodni - Ogród Rajski zapadł się w ziemię, lecz panuje w nim dawna wspaniałość, nadal świeci słońce, a w powietrzu rozlana jest niezwykła świeżość i woń! Mieszka tam królowa wróżek. Znajduje się tam również cudownie piękna Wyspa Błogości, dokąd nigdy nie zagląda Śmierć! Usiądziesz mi jutro na grzbiecie, a zaniosę cię tam. Sądzę, że się uda. A teraz nie gadaj więcej, chcę spać!

I wszyscy zasnęli.

O świcie księżę obudził się i natychmiast ogarnął go strach: okazało się, że leci już wysoko, wysoko pod chmurami! Siedział na grzbiecie Wschodniego Wiatru, który sumiennie go trzymał, lecz księżę mimo wszystko bał się: pędzili tak wysoko nad ziemią, że lasy, pola, rzeki i morza zdawały się namalowane na ogromnej, kolorowej mapie.

- Dzień dobry - rzekł do księcia Wschodni Wiatr. - Mogłeś jeszcze spać, póki co nie ma na co patrzeć. Chyba że zamierzasz liczyć kościoły! Widzisz, ile ich jest? Stoją niczym kredowe kropki na zielonej tablicy!

Zieloną tablicą nazywał pola i łąki.

- Jak to nieuprzejmie z mojej strony, że nie pożegnałem się z twoją matką i braćmi!
- rzekł książę.

- Śpiącemu trzeba wybaczyć! - odparł Wschodni Wiatr, a poleciełi jeszcze szybciej; było to widoczne po tym, jak szumiały pod nimi wierzchołki drzew leśnych, jak wzbierały fale morskie i jak głęboko nurkowały w nich piersiami, niczym łabędzie, statki.

Ku wieczorowi, gdy zrobiło się ciemno, bardzo zabawne było patrzeć na duże miasta, w których tu i ówdzie zapalały się światełka - zdawało się, że po podpalonym papierze biegają drobne iskierki, niczym dzieci biegnące do domu ze szkoły. I książę, patrząc na ten widok, klasnął w dłonie, lecz Wschodni Wiatr poprosił go, by zachowywał się ciszej i trzymał się mocniej - nietrudno przecież było spaść i zawisnąć na jakimś iglicy wieży.

Szybko i lekko niósł się na swoich potężnych skrzydłach dziki orzeł, lecz Wschodni Wiatr niósł się jeszcze lżej, jeszcze szybciej; po równinie jak wir pędził Kozak na swoim małym koniku, lecz cóż mógł przeciwko księciu!

- No, oto i Himalaje! - rzekł Wschodni Wiatr. - To najwyższy łańcuch górski w Azji, wkrótce dotrzemy do Ogrodu Rajskiego!

Skręcili na południe i oto w powietrzu rozlała się silna, korzenna woń oraz aromat kwiatów. Rosły tu daktylowce, granatowce i winorośle z niebieskimi i czerwonymi jagodami. Wschodni Wiatr zszedł z księciem na ziemię i obaj położyli się odpocząć w miękkiej trawie, gdzie rosło mnóstwo kwiatów kiwających im główkami, jakby mówiąc: „Prosimy uprzejmie!”

- Czy jesteśmy już w Ogrodzie Rajskim? - zapytał książę.

- Gdzie tam! - odparł Wschodni Wiatr. - Ale wkrótce tam trafimy! Widzisz tę pionową niczym mur skałę i wielką jaskinię w niej, nad wejściem do której zwisają niczym zielona zasłona pnącza winorośli? Musimy przejść przez tę jaskinię! Owiń się dobrze płaszczem: tutaj pali słońce, lecz jeden krok - a ogarnie nas mróz. U ptaka przelatującego obok jaskini jedno skrzydło czuje letnie ciepło, a drugie - zimny chłód!

- Zatem oto droga do Ogrodu Rajskiego! - rzekł książę.

I weszli do jaskini. Brr... jak zrobiło im się zimno! Na szczęście niedługo.

Wschodni Wiatr rozpostarł swe skrzydła i rozlało się od nich światło, niczym od jasnego płomienia. Nie, cóż to była za jaskinia! Nad głowami wędrowców wisały

ogromne bloki skalne o najbardziej dziwacznych kształtach, z których kapiała woda. Czasem przejście tak się zwężało, że musieli przeciskać się czołgając, innym razem zaś sklepienia jaskini znów wznosiły się na niedostępną wysokość i wędrowcy szli niczym na wolnym przestworzu pod otwartym niebem. Jaskinia zdawała się jakąś gigantyczną grobowcem z niemymi organowymi piszczalnikami i sztandarami wykutymi z kamienia.

– Idziemy do Ogrodu Rajskiego drogą śmierci! – rzekł książę, lecz Wschodni Wiatr nie odpowiedział ani słowa i wskazał ręką przed siebie: naprzeciw nich płynął cudowny błękitny blask; bloki skalne powoli zaczęły rzednąć, topnieć i przemieniać się w jakąś mgłę. Mgła stawała się coraz bardziej przejrzysta, aż w końcu zaczęła przypominać puszyste białe obłoczko, poprzez które prześwituje księżyc. Wtedy wyszli na wolne powietrze – cudowne, miękkie powietrze, świeże jak na szczycie góry i pachnące jak w dolinie róż.

Tuż obok płynęła rzeka; woda w niej rywalizowała przejrzystością z

samym powietrzem. A w rzece pływały złote i srebrne rybki, a purpurowo-czerwone węgorze przy każdym ruchu iskrzyły się błękitnymi iskrami; ogromne liście grzybieni mieniły się wszystkimi kolorami tęczy, a ich kielichy płonęły żółto-czerwonym płomieniem, podtrzymywanym przez czystą wodę, tak jak płomień lampy podtrzymywany jest przez olej. Przez rzekę przerzucony był marmurowy most tak delikatnej i mistrzowskiej roboty, że zdawało się, iż wykonano go z koronek i pereł; most prowadził na Wyspę Błogości, na której znajdował się sam Rajski Ogród.

Wiatr Wschodni wziął księcia na ręce i przeniósł go przez most. Kwiaty i liście śpiewały cudowne pieśni, które książę słyszał jeszcze w dzieciństwie, lecz teraz brzmiały taką dziwną muzyką, jakiej nie może oddać ludzki głos.

A cóż to takiego? Palmy czy gigantyczne paprocie? Tak soczystych, potężnych drzew książę nigdy jeszcze nie widział. Dziwaczne rośliny pnące owijały je, spuszczały się w dół, splatały i tworzyły najbardziej fantazyjne girlandy, mieniące się na brzegach złotem i jaskrawymi barwami; takie girlandy można spotkać chyba tylko w ozdobnikach i inicjałach dawnych ksiąg. Były tu i jaskrawe kwiaty, i ptaki, i najbardziej wymyślne zawijasy. W trawie siedziała, błyszcząc rozpostartymi ogonami, cała gromada pawii.

Czy aby pawii? Oczywiście, że pawie! A jednak nie: książę dotknął ich i okazało się, że to wcale nie ptaki, lecz rośliny, ogromne krzawy łopianu, błyszczące najjaskrawszymi barwami! Między zielonymi, pachnącymi krzakami skakały, niczym gibkie koty, lwy i tygrysy; krzaki pachniały oliwkami, a zwierzęta były zupełnie oswojone; dziki leśny gołąb, o perłowym połysku na piórach, trzepotał

skrzydełkami po grzywie lwa, a antylopa, zazwyczaj tak bojaźliwa i płochliwa, stała obok nich i kiwała głową, jakby dając znać, że i ona nie ma nic przeciwko zabawie z nimi.

Lecz oto pojawiła się sama wróżka; jej szaty lśniły jak słońce, a twarz promieniała taką łagodnością i przyjaznym uśmiechem, jak twarz matki radującej się swojemu dziecku. Była młoda i cudownie piękna; otaczały ją przepiękne dziewczyny z błyszczącymi gwiazdami we włosach.

Wiatr Wschodni podał jej list od ptaka Feniksa, a oczy wróżki zabłysnęły z radości. Wzięła księcia za rękę i zaprowadziła go do swojego zamku; ściany zamku przypominały płatki tulipana, gdy trzyma się je pod światło, a sufit był błyszczącym kwiatem, odwróconym kielichem w dół, zagłębiającym się tym bardziej, im dłużej się w niego wpatrywano. Księżę podszedł do jednego z okien, spojrzął w szybę i wydało mu się, że widzi drzewo poznania dobra i zła; w jego gałęziach czał się wąż, a nearby stali Adam i Ewa.

– Czyż oni nie zostali wygnani? – zapytał księżę.

Wróżka uśmiechnęła się i wyjaśniła mu, że na każdej szybie czas wyrzył niezatartą scenę, ożywioną życiem: liście drzewa poruszały się, a ludzie się ruszali – no właśnie tak, jak bywa z odbiciami w lustrze! Księżę podszedł do innego okna i ujrzał na szybie sen Jakuba: z nieba schodziła drabina, a po niej zstępowali i wstępowali aniołowie z wielkimi skrzydłami na plecach. Tak, wszystko, co było lub kiedykolwiek dokonało się na świecie, nadal żyło i poruszało się na okiennych szybach zamku; takie cudowne obrazy mógł wyryć swoim niezatartym rylcem jedynie czas.

Wróżka, uśmiechając się, wprowadziła księcia do ogromnej, wysokiej komnaty ze ścianami z przeźroczystych obrazów – spośród nich wszędzie wyglądały główki, jedna piękniejsza od drugiej. Były to zastępy błogosławionych duchów; uśmiechały się i śpiewały; ich głosy łączyły się w jedną dziwną harmonię; te najwyższe z nich były mniejsze niż pąki róży, gdy narysuje się je na papierze w postaci malutkich kropek. Pośrodku tej komnaty stało potężne drzewo, pokryte zielenią, w której błyszczały duże i małe złociste jabłka, podobne do pomarańczy. Było to drzewo poznania dobra i zła, którego owoców kiedyś kosztowali Adam i Ewa. Z każdego listka kapłała błyszcząca czerwona rosa – drzewo zdawało się płakać krwawymi łzami.

– Usiądźmy teraz w łodzi! – powiedziała wróżka. – Czeką nas tam taka uczta, że aż cud! Wyobraź sobie, łódź tylko kołysze się na falach, lecz nie płynie, a wszystkie strony świata same przesuwają się obok!

I istotnie, było to zadziwiające widowisko; łódź stała, a brzegi się poruszały! Oto ukazały się wysokie, śnieżne Alpy z chmurami i ciemnymi borami sosnowymi na szczytach, przeciągle-iżałośnie zabrzmiał róg, i rozległa się dźwięczna pieśń górskiego pasterza. Oto nad łodzią zwiesiły się długie, giętke liście bananowców; popłynęły stada czarnych jak smoła łabędzi; pojawiły się najdziwniejsze zwierzęta i kwiaty, a w dali uniosły się błękitne góry; była to Nowa Holandia, piąta część świata. Oto dało się słyszeć śpiew kapłanów, a przy dźwiękach bębnów i kościanych fletów tłumy dzikusów zakreśliły się w szalonym tańcu. Obok przepłynęły wznoszące się aż do chmur egipskie piramidy, powalone kolumny i sfinksy, na wpół pogrzebane w piasku. Oto oświetlone zorzą polarną zostały wygasłe wulkany północy. Tak, kto mógłby urządzić podobny fajerwerk? Książę był poza sobą z zachwyty: cóż dziwnego, widział przecież sto razy więcej, niż my tu opowiadamy.

- I ja mogę tu pozostać na zawsze? - zapytał.

- To zależy od ciebie samego! - odpowiedziała wróżka. - Jeśli nie będziesz dążył do tego, co zakazane, jak twój praojciec Adam, możesz zostać tutaj na wieki!

- Nie dotknę owoców z drzewa poznania dobra i zła! - powiedział książę. - Jest tu przecież tysiąc innych pięknych owoców!

- Doświadczyć siebie, a jeśli walka wyda ci się zbyt ciężka, odleć z powrotem z Wiatrem Wschodnim, który wróci tu znów za sto lat! Sto lat przeminie dla ciebie jak sto godzin, lecz to dość długi okres, gdy chodzi o walkę z grzeszną pokusą. Każdego wieczoru, żegnając się z tobą, będę cię wołać: «Do mnie, do mnie!» Będę cię zwabić ręką, lecz ty nie ruszaj się z miejsca, nie idź na moje wezwanie; z każdym krokiem tęsknota pożądania będzie w tobie rosła i w końcu увлече cię do tej komnaty, gdzie stoi drzewo poznania dobra i zła. Będę spać pod jego pachnącymi, bujnymi gałęziami, a ty nachyliš się, by przyjrzeć mi się bliżej; uśmiechnę się do ciebie, a ty pocałujesz mnie... Wtedy Rajski Ogród zapadnie się w ziemię jeszcze głębiej i będzie dla ciebie utracony. Ostry wiatr będzie przenikał cię aż do kości, zimny deszcz - moczył twoją głowę; utrapienie i nieszczęścia będą twoim udziałem!

- Pozostaję! - powiedział książę.

Wiatr Wschodni pocałował księcia w czoło i rzekł:

- Bądź mężny, a spotkamy się znów za sto lat! Bywaj, bywaj!

I Wiatr Wschodni zamachał swymi wielkimi skrzydłami, błysnął jak błyskawica w ciemności jesiennej nocy lub jak zorza polarna w mroku polarnej zimy.

- Bywaj! Bywaj! - zaśpiewały wszystkie kwiaty i drzewa. Stada bocianów i pelikanów poleciały, niczym powiewające wstęgi, odprowadzając Wiatr Wschodni aż do granic ogrodu.

- Teraz zaczną się tańce! - powiedziała wróżka. - Lecz o zachodzie słońca, tańcząc z tobą, zacznę cię zwabić ręką i wołać: «Do mnie! Do mnie!» Nie słuchajże mnie! Przez sto lat każdego wieczoru będzie się powtarzało to samo, lecz ty z każdym dniem będziesz stawał się coraz silniejszy i silniejszy, a na koniec przestaniesz nawet zwracać uwagę na moje wołanie. Dzisiejszego wieczoru czeka cię pierwsza próba! Teraz jesteś ostrzeżony!

I wróżka zaprowadziła go do rozległej komnaty z białych, przeźroczystych lilii z małymi, grającymi same z sobą, złotymi harfami zamiast pręcików. Przepiękne, smukłe dziewczyny w przeźroczystych szatach poniosły się w powietrznym tańcu i zaśpiewały o radościach i błogości nieśmiertelnego życia w wiecznie kwitnącym Rajskim Ogrodzie.

Lecz oto słońce zaszło, niebo rozbłysło jak roztopione złoto, a na lilie padł różowy blask. Książę wypił pieniste wino, podane mu przez dziewczyny, i poczuł napływ niewysłowionego błogości. Nagle tylna ściana komnaty otwarła się i książę ujrzał drzewo poznania dobra i zła, otoczone olśniewającą poświatą, zza drzewa płynęła cicha, łagodząca słuch pieśń; wydawało mu się, że słyszy głos swojej matki, śpiewającej: «Dziecko moje! Moje miłe, drogie dziecko!»

I wróżka zaczęła go zwabić ręką i wołać łagodnym głosem: «Do mnie, do mnie!» Ruszył za nią, zapominając o swej obietnicy już pierwszego wieczoru! A ona wciąż go zwabiała i uśmiechała się... Korzenny aromat, rozlany w powietrzu, stawał się coraz silniejszy; harfy brzmiały coraz słodziej; zdawało się, że to chórem śpiewały same błogosławione duchy: «Wszystko trzeba wiedzieć! Wszystko należy zbadać! Człowiek - król natury!» Księżciu wydawało się, że z drzewa już nie kapła

więcej krwi, a sypały się czerwone błyszczące gwiazdki. «Do mnie! Do mnie!» — brzmiała powietrzna melodia i z każdym krokiem policzki księcia rozżarzały się, a krew falowała coraz mocniej i mocniej.

— Muszę iść! — mówił. — W tym przecież nie ma i nie może być grzechu! Po co uciekać przed pięknnością i rozkoszą? Tylko popatrzę, spojrzę na nią śpiącą! Przecież jej nie pocałuję! Jestem dość silny i zdołam nad sobą zapanować!

Lśniąca peleryna spadła z ramion wróżki; rozsunęła gałęzie drzewa i w jednej chwili zniknęła za nim.

— Jeszcze nie złamałem obietnicy! — rzekł książę. — I nie chcę jej łamać!

Z tymi słowami rozsunał gałęzie... Wróżka spała tak przepiękna, jak tylko wróżka z Rajskiego Ogrodu spać może. Uśmiech bawił się na jej ustach, lecz na długich rzęsach drżały łezki.

— Czy płaczesz przeze mnie? — szepnął. — Nie płacz, czarująca wróżko! Teraz dopiero pojąłem rajskie błogość, płonie ona ogniem w mojej krwi, zapala myśli, czuję nadziemską siłę i potęgę w całym swoim jestestwie!... Niechże potem nastanie dla mnie wieczna noc — jedna taka chwila droższa jest od wszystkiego na świecie!

I pocałował łzy drżące na jej rzęsach, usta jego dotknęły jej ust.

Rozległ się straszny huk gromu, jakiego nikt jeszcze nigdy nie słyszał, i wszystko zmieszało się w oczach księcia; wróżka zniknęła, kwitnący Rajski Ogród zapadł głęboko w ziemię. Księżę widział, jak zniknął w mroku nieprzeniknionej nocy, i oto pozostała po nim tylko mała błyszcząca w oddali gwiazdka. Śmiertelny chłód skuł jego członki, oczy się zamknęły i upadł jak martwy.

Zimny deszcz moczył mu twarz, ostry wiatr lodowacił głowę i oprzytomniał.

— Co ja uczyniłem! — westchnął. — Złamałem swój ślub, jak Adam, i oto Rajski Ogród zapadł głęboko w ziemię!

Otworzył oczy; w oddali wciąż migotała gwiazdka, ostatni ślad znikniętego raju. To świeciła na niebie gwiazda poranna.

Księżę wstał; znów był w tym samym lesie, u jaskini wiatrów; obok niego siedziała matka wiatrów. Spojrzała na niego gniewnie i groźnie podniosła rękę.

— Już pierwszego wieczoru! — powiedziała. — Tak właśnie myślałam! Tak, gdybyś był moim synem, siedziałbyś teraz w worku!

— On jeszcze tam trafi! — rzekła Śmierć, — to był krzepki starzec z kosą w ręku i wielkimi czarnymi skrzydłami za plecami. — I ułoży się w trumnie, choć nie teraz. Ja tylko go naznaczę i dam mu czas, by powędrował po białym świecie i odpokutował swój grzech dobrymi uczynkami! Potem przyjdę po niego w godzinie, gdy najmniej będzie się mnie spodziewał, wsadzę go do czarnej trumny, postawię sobie na głowie i zaniosę go tam, na ową gwiazdę, gdzie również kwitnie Rajski Ogród; jeśli okaże się dobry i pobożny, wejdzie rydła, jeśli zaś jego myśli i serce będą nadal pełne grzechu, trumna opadnie z nim jeszcze głębiej, niż zapadł Rajski Ogród. Lecz co tysiąc lat będę po niego przychodzić, aby ☐ pograżył się jeszcze głębiej, либо pozostał na wieki na lśniącej niebieskiej gwieździe!